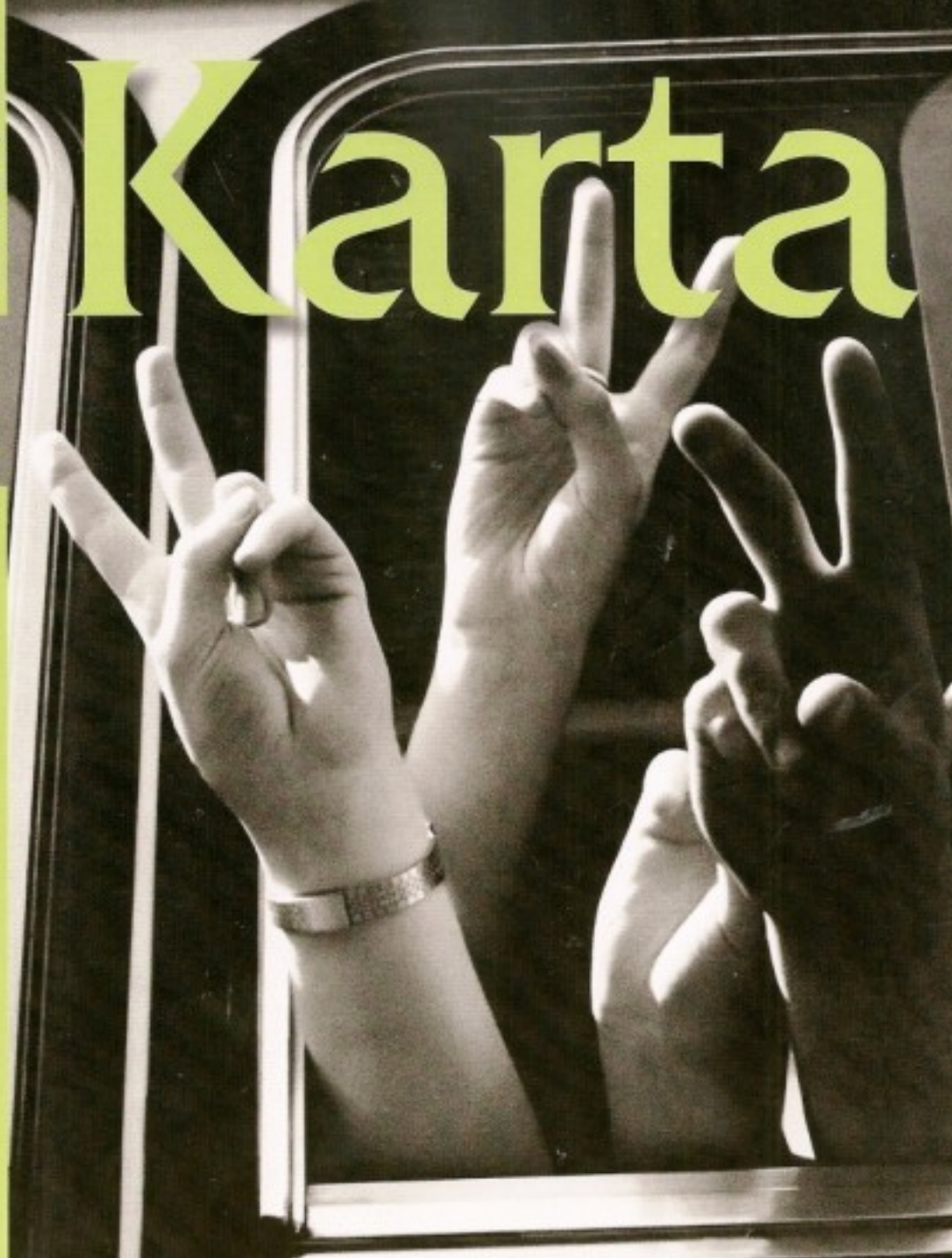


cena 12 zł w tym 0% VAT

46 2005

Karta



Karnawał „Solidarności”
Wołyń 1943
Uciekinier z komunizmu

NR INDEKSU 363774

Lato 1943

BARBARA ODNOUS

Od 1991 roku trwa śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych na Wołyniu w latach 1939–45. Prowadzone jest przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Lublinie. Akta sprawy liczą obecnie 57 tomów (po około 200 kart każdy) i dokumentów stale przybywa: protokoły z przesłuchań świadków, relacje i wspomnienia (również drukowane), listy osób prywatnych, raporty organizacji podziemnych, także nieliczne zdjęcia. Przedstawiamy wybór z całego materiału zgromadzonego w Instytucie Pamięci Narodowej w Lublinie.

Eskalacja konfliktu na Wołyniu miała miejsce latem 1943, dlatego też oparliśmy się na tekstach z tego okresu, skupiając się na zeznaniach i relacjach bezpośrednich uczestników wydarzeń. Z zebranych opowieści wyłania się obraz nie tylko tych sąsiadów Ukraińców, którzy okazali się wrogami, realizując zaplanowaną akcję ludobójstwa, ale i tych, dzięki którym wielu Polaków przeżyło. Nie możemy jednak ujawnić ich tożsamości. Korzystając z akt prokuratorskich, zobowiązaliśmy się do niepodawania danych pozwalających na identyfikację nie tylko sprawców, ale też ofiar i świadków. Dotyczy to także nazwisk polskich.



Dermań (pow. zdolbunowski), 1939. Licealiści z Wołynia. Fot. portal internetowy „Wołyń naszych przodków”

3 lipca 1943 (sobota)

Piotr W. (ur. 1928):

Między Polakami i Ukraińcami w kolonii Górnej nie było nieporozumień, tym bardziej zatargów [...]. Ukraińcy jako prawosławni chodzili do cerkwi w pobliskim Hubkowie, natomiast Polacy do kościoła w Ludwipolu, oddalonego o około siedem kilometrów. Idąc do Ludwipola, przechodziliśmy przez czysto ukraiński Hubków, ale nigdy nie spotkaliśmy się tam z oznakami wrogości czy zaczepkami. [...]

Było już słyhać o mordowaniu polskich wiosek na północny zachód od Ludwipola. Obawialiśmy się ataku i na noc kryliśmy się po polach. 3 lipca również zamierzaliśmy iść spać w pole. [...] Wszyscy byliśmy gotowi, chcieliśmy jeszcze tylko zjeść kolację (stała na stole) i czekaliśmy na brata Romualda, który lada moment miał przygonić krowy.

Niemalże równo z zachodem słońca podniósł się krzyk i rozległy strzały. Matka podbiegła do okna, krzyknęła, że są już banderowcy i trzeba uciekać. Wyskoczyli z ojcem przez okno do ogródka kwiatowego i zaczęli uciekać drogą między zbożami, pod górkę. Matka nie zdążyła zabrać mojej małej siostry, czego ja początkowo nie spostrzegłem.

Wyskoczyłem na podwórko, a tam było pełno Ukraińców. Biegali, krzyczeli, podpalali zabudowania, wynosili z obejść mienie. Prawdopodobnie wzięli mnie za Ukraińca, gdyż miałem na sobie kurtkę z pasem, podobną do wojskowej, a oni ubierali się podobnie. Kręciłem się po podwórku, szukając kryjówki i zobaczyłem, jak Ukrainiec położył się na drodze i zaczął strzelać w kierunku uciekających rodzi-ców. [...] Matka upadła, pomyślałem, że została trafiona i nie żyje, ojciec pobiegł dalej. Zauważyłem też krowy, zatem gdzieś w pobliżu musiał być brat.

W tym momencie podbiegła do mnie pięcioletnia siostra, złapała mnie za nogę i zaczęła płakać. Nakazałem jej milczeć i skoczyliśmy do pobliskiego ogródka warzywnego, gdzie położyliśmy się w wysokiej fasoli. Jednak któryś z myszkujących po obejściu lub mieszkaniu Ukraińców musiał coś zauważyć, gdyż dwóch lub trzech przybiegło do ogródka i odkryli nas. Twierdzili, że jestem Polakiem. Ja zaprzeczałem, na dowód zacząłem modlić się jak prawosławny. Jeden z Ukraińców uderzył mnie silnie kolbą karabinu w klatkę piersiową, straciłem przytomność.

Kiedy się ocknałem, zmierzch przeszedł już w noc. Wszędzie pełno było gryzącego dymu. Zauważyłem, że brat ucieka z ogródka. Byłem mocno pobity i pokrwawiony, nie miałem siły, ale zarzuciłem siostrę na plecy i pobiegłem za bratem, w kierunku pobliskiego stawu dla gęsi i rozciągającego się za nim lasu. [...] Co chwila przystawałem dla odpoczynku lub przewracałem się pod ciężarem siostry. Dobiegłem do lasu, tam znowu się przewróciłem, zabrakło mi sił. [...]

Zamiast jednak ukryć się w tym lesie, przebiegłem go. Kiedy wyskoczyłem na szeroki szutrowy trakt na Ludwipol, podjechał Ukrainiec na koniu i czymś twardym uderzył mnie w głowę. Upadłem, a Ukrainiec pojechał dalej. Reszką sił zerwałem się i dobiegłem do lasu po drugiej stronie traktu. Tuż za mną przybiegła siostra, której już nie miałem siły dźwigać. Ukryliśmy się pod pnem zwalonego drzewa. Po pewnym czasie teren wokół zaczęli penetrować Ukraińcy. Nie znaleźli nas jednak i odeszli. Po chwili straciłem świadomość.

Ocknałem się, kiedy już było widno. Siostra leżała obok i, co dziwne, nie płakała. Postanowiłem pójść do wioski Hurby, odległej o parę kilometrów od Górnej, do domu siostry ojca [...]. Nikogo tam nie zastałem. Mieszkańcy, słysząc odgłosy napadu na naszą kolonię, puciekali w las. Wziąłem chleb i mleko i zamierzałem wrócić do siostry, którą wcześniej ukryłem w lesie. Wtedy zawołał mnie brat, leżał w sia-



Mapa przygotowana według podziału administracyjnego z 1939 roku

nie w stodole. Okazało się, że noc przesiedział na drzewie w lesie. Brat powiedział, że widzi jakieś postacie w pobliskim domu. Podczołgałem się w zbożu w tamtym kierunku i spostrzegłem kilku mężczyzn z naszej kolonii. Powiedzieli mi, że matka żyje, natomiast ojciec został zabity. Furmankami zawieziono nas do Huty Starej, gdzie stacjonowały oddziały polskiej samoobrony.

Kolonia Górna, gmina Ludwipol, powiat Kostopol

Regina F. (ur. 1929):

Wieczorem zamierzaliśmy zjeść kolację, a potem wyjść w okoliczne pola [...]. Poszłam do naszego ogrodu (500–700 metrów od domu) urwać warzyw na kolację. Ogród znajdował się na górze, skąd roztaczał się widok na pobliskie gospodarstwa. W pewnej chwili usłyszałam krzyki i strzały. Wyprostowałam się i znieruchomiałam, mimo że kule świstały obok mnie. W dole rozgrywał się koszmar. Chmara Ukraińców podpałała domy i zabudowania gospodarcze, mordowała ludzi. [...]

Po chwili doszłam do siebie i postanowiłam uciekać. Zauważyłam stryjka Jana W., mieszkającego w sąsiedztwie. Biegł w kierunku górki, na której stałam i wołał syna. Razem postanowiliśmy uciekać w kierunku odległej o kilometr rzeki Słucz. Kiedy przeprawialiśmy się już przez rzekę i byliśmy mniej więcej w połowie jej nurtu, zobaczyłam, że na drugim brzegu kłęczy Ukraińiec i mierzy do nas z karabinu. Zawróciliśmy, a on strzelał do nas, ale nie trafił. Postanowiliśmy ukryć się w pobliskich jarach.

Kiedy dochodziliśmy do jarów, wyszedł z nich inny Ukraińiec z wymierzonym w nas karabinem. [...] Widząc wycelowaną lufę, uskokczyłam w bok i ukryłam się

w skałkach w pobliżu jaru. Ukraińiec strzelił i zabił stryja. Następnie przez kilka minut chodził wokół skałek, chcąc mnie odnaleźć. Potem odszedł, ale ja siedziałam w załomie aż do południa następnego dnia, kiedy wyszłam i pobiegłam do swojej wioski.

Kol. Górna

11 lipca 1943 (niedziela)

Alina D.:

Tego wieczoru mama szyła mi sukienkę i z tego powodu nie poszła spać do kryjówki, co stale czyniono ze względu na nocne napady band UPA i urządzone przez Niemców łapanki na roboty do Niemiec. Gdy skończyła szyć, powiedziała, że na pewno banda dziś nie przyjdzie i położyła się spać ze mną. Los okazał się jednak nieubłagany i mordercy spod znaku OUN-UPA o północy załomotali do drzwi. Kiedy im otworzył dziadek Jan R., od razu zastrzelili go w progu mieszkania.

Mama, słysząc strzał i jęk dziadka, wyskoczyła z łóżka i zaczęła krzyczeć. Ja również zerwałam się z łóżka, podbiegłam do mamy i trzymałam się jej spódnicy. Nagle obie upadłyśmy na podłogę, gdyż mama została trafiona kulą przez wybite okno. Kiedy ucichły strzały, zaczęłam wołać mamę i szarpać ją. Wtedy usłyszałam głos babci Marii R.: „*Nie wołaj mamusi, mamusia jest zabita! Ciocia Danusia też jest zabita, popatrz!*”. Był już ranek. Rozejrzałam się, zobaczyłam najmłodszą siostrę mojej mamy całą we krwi, leżącą obok warsztatu tkackiego, a babcię siedzącą na łóżku, również zakrwawioną. Babcia powiedziała: „*Idź, Alinko, do wujostwa, tylko ostrożnie i powiedz im, co się u nas stało*”.

Wybiegłam z mieszkania i widząc, że nikogo nie ma, pobiegłam do wujostwa, na drugą stronę ulicy. Wujek M. leżał zabity w kuchni, ciocia Domicela martwa, siedziała oparta o kufer i ścianę, pokłuta bagnietami lub nożem. Jak się później dowiedziałam, ciocia spała ukryta w stodole, ale nad ranem wróciła do domu, sądząc, że nie będzie napadu i trafiła na morderców. Po obejrzeniu domu wujostwa, pobiegłam do P. Tam zobaczyłam młodą synową P. z niemowlęciem na ręku, oboje byli martwi. W pobliżu leżał jej martwy teść.

Wróciłam do babci, opowiedziałam wszystko, co widziałam. Na jej prośbę przyniosłam z drugiego pokoju firankę, którą babcia owinęła swoje rany. Wzięłam poduszkę i blachę z upieczonymi poprzedniego dnia drożdżowymi bułkami i poszłyśmy ukryć się w zbożu za sadem.

Po pewnym czasie przyszedli do nas dwaj synowie babci, którzy spali na strychu nad stajnią, piętnastoletni Florek i nieco starszy od niego Czesiek. Babcia kazała im przynieść kożuch, aby mogli leżeć na ziemi. Pobiegli w kierunku domu, a za chwilę przebiegli obok nas, ścigani przez Ukraińców na koniach. Kiedy babcia to zobaczyła, powiedziała do mnie: „*Uciekaj Alinko, i to szybko, biegnij do cioci Jadzi*”. Ciocia mieszkała na kolonii Bogudzińska. Zdażyłam tylko zapytać: „*Babciu, a ty, co z tobą?*”. Zawahałam się, babcia powiedziała: „*Uciekaj, ja tu zostanę z twoją mamą i dziadkiem*” i upadła na poduszkę.

Pobiegłam miedzą w innym kierunku niż moi wujkowie. Dobiegając do Bogudzińska musiałam przejść w pobliżu ukraińskiego gospodarstwa. Stała tam grupa kobiet i dzieci. Patrzyły na drogę, którą jechały wozy ze zrabowanym dobytkiem, a banda UPA pędziła stado krów.

Niezauważona weszłam do domu cioci. Nie było w nim nikogo. Pobiegłam dalej do nie ukończonego domu cioci Wandy J. Tam zobaczyłam teścia cioci całego we

krwi. Myślałam, że jest zabity, ale, jak się później okazało, był tylko ranny. Wystraszyłam się i pobiegłam do babci W. na Witoldówkę. [...]

Gdy biegłam przez pola, spostrzegł mnie wujek Czesiek, siedzący na czatach na polnym dębie. [...] W zbożach siedziała grupa Polaków, ocalałych z pogromu. Wśród nich również ciocia Wanda J. z dziećmi.

W nocy wujek Czesiek poszedł pochować babcię, którą dobili Ukraińcy, i wujka Florka, zastrzelonego podczas ucieczki. Pogrzebał ich pod polną gruszą. [...] Dzieńdek, moja mama Aniela W. i ciocia Danusia R. nie zostali pochowani i nikt nie wie, gdzie spoczywają ich zwłoki.

Wujek Czesiek zdobył konia i wóz, na który załadowała się nasza gromadka i w strugach deszczu, polnymi drogami i przez lasy ruszyliśmy w stronę Sokala.

Gurów, gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz

Natalia O. (ur. 1936):

10 lipca w sobotę z ojcem i siostrą Alą byliśmy [...] we wsi Romanówka. Kiedy wracaliśmy furmanką, minęliśmy na drodze wóz z bandytami ukraińskimi. [...] Ojciec w obawie, że mogą go zabrać na tzw. podwodę, poszedł na noc w zboże. [...]

Kiedy 11 lipca o trzeciej nad ranem obudziłam się, w mieszkaniu znajdowało się sześciu bandytów ukraińskich. Wszystko było rozwalone, rzeczy powyrzucane na środek pokoju. Ukraińcy bez przerwy krzyczeli: „*Gdzie jest gospodarz?*”. Bili przy tym mamę, domagając się odpowiedzi. Mama uklękała i mówiła, że mąż nie wrócił z Romanówki. Wtedy jeden z bandytów zaczął do niej strzelać. Została trafiona siedmioma pociskami, skończyła we krwi na podłodze. Babcia Stanisława B., która tej nocy u nas spała, również została zastrzelona.

Obie z siostrą Alą, przerażone, błagałyśmy o darowanie życia. Zawinęłam się w pierzynę i cała skurczyłam. Oprawca strzelił. Kula musnęła mi lekko skroń i przeszła lewe ramię. Dostałam jeszcze cios kolbą i straciłam przytomność. Ala krzyczała, zasłaniając się rękoma. Przestrzelono jej prawą dłoń, pobito kolbą, również straciła przytomność. Siedemnastomiesięczna Jadzia została zastrzelona.

Nie wiem, jak długo trwała rzeź. Gdy się obudziłam, siedziała nade mną Ala, cała we krwi i w czerwonej pościeli. Wstałyśmy i poszłyśmy do domu naszego dziadka Bolesława B., mieszkającego jakieś 150 metrów dalej. Wokół słychać było strzelaninę. Na drodze zauważyliśmy wóz, na którym siedział uzbrojony Ukrainiec. Na jego widok schroniliśmy się w gęstym zagonie kwitnącego maku. Gdy wóz odjechał, weszliśmy do mieszkania dziadka. Leżał zabity, a obok niego jego syn Zygmunt z żoną Wiktoria i ich synkami, Wackiem i Leszkiem. Zabite zostały również farmaceutka H. i jej córka Giza — Żydówki, które ukrywały się u dziadków. (Uciekł dziewięcioletni Hałek H., tułał się przez dwa tygodnie i został zastrzelony w pociągu przez Niemca.)

Z domu dziadka poszliśmy do mieszkania szewca W. Tam zobaczyliśmy trupy: W., jego żony i dwójki dzieci, Bolka (8 lat) i Adeli (15 lat) [...].

Dalej nie mogłyśmy iść, bo zostałyśmy zauważone przez Ukraińca, który gonił młodego mężczyznę i strzelał za nim. Chyłkiem powróciłyśmy do domu, tam położyłyśmy się do łóżka. [...] Potem przyszły trzy kobiety z różańcami i zabrały nas.

Gurów

Czesław S. (ur. 1918):

O trzeciej nad ranem byłem w swojej stodole, gdzie miałem urządzoną kryjówkę. Usłyszałem nadjeżdżającą furmankę. Przez szparę między deskami zobaczyłem

dwóch mężczyzn z karabinami, którzy zeskoczyli z wozu w stronę domu. Trzeci siedział na wozie. Obok furmanki zauważyłem chłopca (16–17 lat) [...] narodowości ukraińskiej, który mieszkał niedaleko mnie w Witoldowie. Mój pies zaczął strasznie ujadać, mordercy skierowali na niego lufy karabinów.

Do mieszkania weszli przez niezamknięte drzwi. Strzelali z bliska w głowy. Mózg był na ścianach pokoju. Wszystkie osoby leżały na podłodze we krwi. Czesław Z. został zabity na kanapie. Moja żona Janina klęczała z rozkrzyżowanymi rękami. Widocznie uklękała, prosząc o darowanie życia. Teściowa upadła pod stół, przewracając naczynia i butelki.

Po wymordowaniu mojej rodziny w mieszkaniu, mordercy wpadli do stodoły, szukając mnie. „*Nie ma joho, wtił*” [Nie ma go, uciekł] — mówili. [...] Usłyszałem odjazd furmanki zaprzężonej w dwa konie. Chciałem uciekać do sąsiada Konstantego S., ale ponieważ mordercy pojechali w kierunku jego gospodarstwa, cofnąłem się. Zdażyłem zobaczyć, że S. wyprowadza dwa konie i rocznego żrebaka na łąkę obok sadu. [...] Po kilku minutach zobaczyłem, jak mordercy łapią go przy koniach i prowadzą do domu. Przerażony wróciłem na własne podwórze i schowałem się do piwnicznej kryjówki obok stodoły, gdzie przesiedziałem do godziny dziesiątej. [...]

[Potem] widziałem pomordowanych S., postrzelanych i porąbanych siekierami. Konstanty leżał na podłodze z roztrzaskaną głową [...], obok leżała [...] Balbina S. i ich córka Weronika (11 lat).

[...] Przez trzy dni po tragedii panowała cisza, nikogo nie widziałem. Ukrywając się w zbożu, od czasu do czasu wyglądając, co się dzieje wokół domu, udało mi się spotkać z sąsiadami Ukraińcami [...]. Oni wykonali trumny z desek i wykopali dół na mogiłę [...]. Pochowaliśmy trójkę pomordowanych obok domu, w sadzie, stawiając na mogile krzyż, który zrobili Ukraińcy. Ukrainka przyniosła mi bochenek chleba na drogę i rozplakała się, mówiąc: „*My wam nic nie winni, jak będziesz żył, to się dowiesz, kto mordował*”. [...]

W dniu, w którym chowaliśmy w sadzie moją rodzinę [...], do gospodarstwa S. przyszli jacyś uzbrojeni osobnicy w kolejowych mundurach. Ukraińcy zostawili trumny i uciekli, obawiając się, że może ich spotkać coś złego. Słyszac, że faktycznie przyjechali Polacy, pobiegnęm przywitać się i ze łzami w oczach zobaczyłem kolejarzy polskich z bronią, którzy przyjechali z Włodzimierza Wołyńskiego. [...]

Julian S. z bratem Feliksem [synowie zamordowanych S.], z siostrzeńcem Zygmuntem M. [...], przygotowali mogiłę na podwórzu gospodarstwa, niedaleko studni. Ułożyli w niej trzy trumny i postawili trzy krzyże. Zaraz po tym pogrzebie i odejściu Polaków [...], Ukraińcy biegali od jednego do drugiego polskiego gospodarstwa, wzniecając pożary. Pozostały zgłiszczka i wypalone sady.

Witoldów, gm. Poryck, pow. Włodzimierz

Zygmunt M. (ur. 1925):

Gdy skrycie wszedłem do mieszkania [S.], zastałem makabryczny widok. Drzwi były pootwierane, kury chodziły po kuchni i dziobały upieczony przez babcię chleb, leżały łuski po wystrzelonych nabojach. W dużym pokoju znalazłem ciała. Dziadek [Konstanty S.] leżał na podłodze w kałuży krwi, w kożuchu, boso i praktycznie bez głowy. Resztki mózgu widziałem na ścianach i suficie. Część głowy była wbita w szyję obuchem siekiery, tak że widoczny był tylko fragment brody. Na całym ciele miał rany postrzałowe i od siekiery. Obok leżała babcia i Weronika, obie w kałuży krwi. Miały ślady po kulach i rany klute głowy oraz nóg. Babcia była przerąbana siekierą wzdłuż piersi. [...]

14 lipca w godzinach przedpołudniowych, w słoneczny dzień, skrycie, polnymi miedzami, wśród łąnów zbóż, podeszliśmy grupą do gospodarstwa dziadków, by na podwórzu pochować ich ciała. [...] Niosłem ciało mego dziadka bez głowy. Kozuch nasiąknięty był krwią i mazią z mózgu. Bardzo spieszyliśmy się, ponieważ od lasu Hromosz słychać było pierwsze strzały bandytów z UPA.

Witoldów

Maria B.-Cz. (ur. 1923):

Na Wołyniu mieszkaliśmy od pokoleń. [...] Byłam już mężatką i miałam roczną córeczkę Reginkę. Mieszkaliśmy z mężem w domu moich rodziców. Była z nami jeszcze Tamarka, ośmioletnia dziewczynka, którą porzucili Rosjanie w 1941, uciekając przed Niemcami. Nie знаła swojego nazwiska. Przygarnęliśmy ją [...].

Na początku 1943 roku zaczęły przenikać do Teresina ponure wieści. [...] Nie chciano dać temu wiary [...], ale kiedy w cerkwi w Swojczowie Ukraińcy poświęcili kosy, siekiery, łopaty, widły, [...] mieszkańców parafii Swojczów ogarnęła trwoga. W dzień pracowaliśmy na polu i w obejściu, noce spędzaliśmy w zbożu, w stogach siana, stodołach lub zbierając się po kilka rodzin i wystawiając warty, żeby nie dać się zaskoczyć bandytom. [...]

11 lipca przyszli u schyłku nocy. Około trzeciej usłyszałam ostre szczekanie psów. Wybiegłam z mężem i ojcem na podwórze. Od strony ukraińskich wsi Gnojno i Mohylno szła szerokim łąnem w stronę naszej osady jakby chmura ludzi. Słychać było dudnienie kroków. [...] Cofnęliśmy się do domu. Chwyciłam córeczkę i ukryłam się z nią w piwnicy, pod podłogą kuchni, za rzędem beczek. W tym czasie Reginka była chora na koklusz i bardzo głośno kasłała; bałam się, że kaszel zdradzi kryjówkę, ale dziecko wyczuło zagrożenie i siedziało cichutko. Słyszałam płacz i rozpaczliwe krzyki moich bliskich, których wywlekano z domu i zabijano na podwórzu. Słyszałam też krzyki oprawców. Nie padł ani jeden strzał — zabijali siekierami, widłami. Struchlała, oczekiwałam na swoją kolej. Gdy płacz i prośby moich bliskich ustały, zobaczyłam, jak uchyla się włącz do piwnicy i [usłyszałam] męski głos: „*Ne maje nykogo*”.

Po jakimś czasie, gdy zupełnie ucichły głosy ukraińskich bandytów, wyrzesałam przez okno w kuchni. Oczom moim ukazał się potworny widok. Mama, ojciec, siostra, mąż, dzieci: Krysia i Tamarka — leżeli na podwórzu z odrąbanymi głowami w morzu krwi. Cofnęłam się do kryjówki. [...] Przesiedziałam tam cały dzień [...]. Gdy o zmierzchu wyrzesałam po raz drugi na podwórze, zwłok moich bliskich już nie było, zostały zakopane w obejściu. Cały nasz dobytek rozgrabiono.

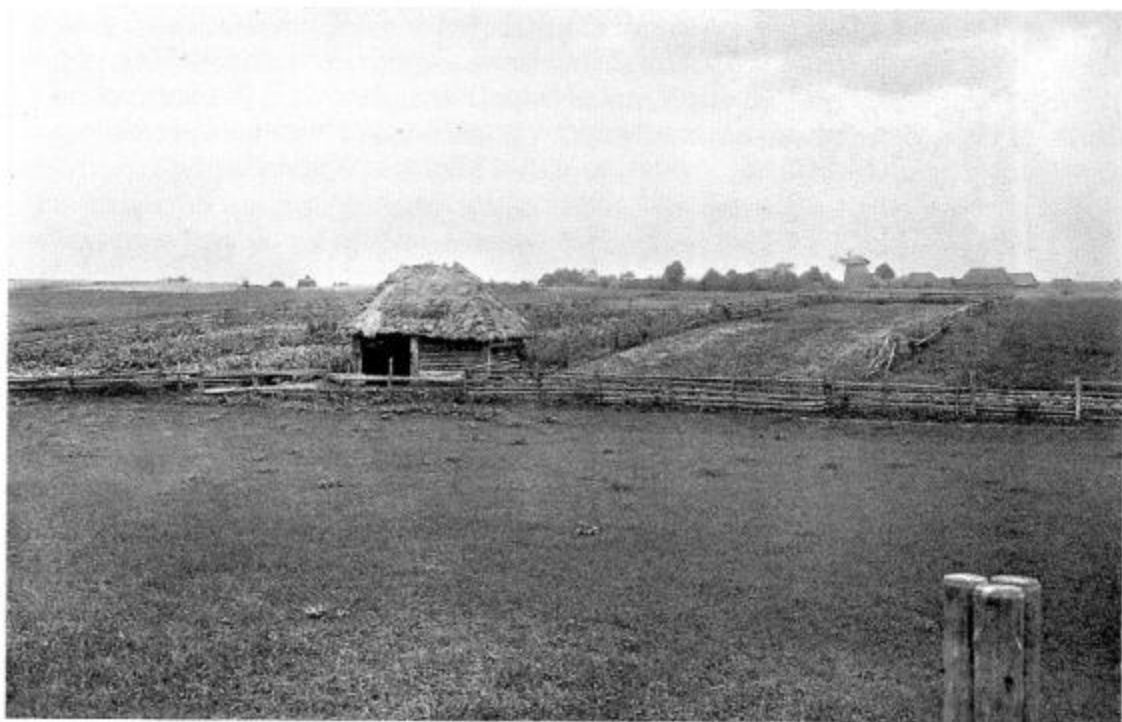
Nocą wymknęłam się z córeczką na rękę, jak stałam, w jednej sukience, bez kromki chleba na drogę. W jednej chwili straciłam wszystko — rodzinny dom, najbliższych [...]. Czołgając się, oddalałam się w stronę pól. Nocą szłam przez bagna, zwane rudowinami, w dzień siedziałam w łożach. Wiedziałam, że aby żyć, muszę pokonać 17 kilometrów drogi do Włodzimierza Wołyńskiego.

Teresin, gm. Werba, pow. Włodzimierz

Wiesław Witold G. (ur. 1937):

Szedłem z mamą na mszę na godzinę 11.00 do Chrynowa. Z krzaków przy drodze w lesie wyłonił się Ukraińiec i zaczął machać rękami: „*Wróć, wróć!*”. Mama zapytała: „*To co, do kościoła nie można iść?*”; odpowiedział: „*Nie gadaj, tylko wracaj*”. Około 11.30 od strony Chrynowa słychać było strzały i wybuchy.

Chrynów, gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz



Powiat łucki. Fot. Jakub Radziewanowski, zbiory Lutosława Stachowskiego

Zygmunt A. (ur. 1925):

Służyłem do mszy świętej [w Chrynowie] o dziewiątej rano. Ksiądz, zaniepokojony sytuacją, odprawił mszę szybko, bez kazania, i powrócił na plebanie. Ludzie wyszli i niebawem zaczęli cofać się strwożeni, że posterunki banderowców zawracają ich do kaplicy. Dodatkowo zaczęli przybywać wierni na sumę o jedenastej.

Tymczasem przyszła na plebanie pani P. ze Stasina (gospodarstwo położone niedaleko), prosząc księdza o wyspowiadanie jej bardzo chorego męża. Ksiądz wziął wiatyk i we trójkę poszliśmy. Niedaleko kaplicy wyszli ze zboża banderowcy i nie chcieli nas przepuścić. Jednak na prośbę pani P. i moje tłumaczenia, że zaraz wracamy na nabożeństwo, przepuścili nas. Po udzieleniu choremu komunii świętej, powróciliśmy z księdzem na plebanie, nie zatrzymywani już przez liczne ukraińskie posterunki.

Ksiądz rozpoczął sumę. Razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy było w kaplicy około dwustu osób, przeważnie kobiety i dzieci.

Z kolegą Jankiem Ż. stanęliśmy za drzwiami, które otwierały się do wewnątrz. Po podniesieniu zauważyłem obok drzwi podejrzany ruch. Kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy i zaczęli strzelać do ludzi; rzucili również dwa granaty, które na szczęście nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube kapliczne drzwi. W świątyni zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie uciekali bocznymi drzwiami, obok zakrystii i chóru. Kaplica była jednak szczelnie otoczona i bez przerwy rozlegały się strzały. Trwał krzyk, [słyszałem] jęki i rozdzierające wrzaski dzieci.

Ksiądz wraz z kobietami uciekał od ołtarza przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici. Ojciec mój, który był organistą, uciekał z innymi przez drzwi przy chórze. Banderowski bandyta podbiegł i strzelił do niego czterokrotnie, ale były to niewypały i ojciec zdołał uciec.

Po jakimś czasie, gdy w kaplicy pozostali już tylko zabici i ranni, banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do pobliskiego lasu. Udało nam się uciec do

położonej obok kaplicy organistówki. Dookoła leżało wiele trupów, ranni czołgali się w zbożu. W organistowce schowaliśmy się w piwnicy, jednakże baliśmy się, że Ukraińcy mogą wrócić i odnaleźć nas. Na zewnątrz panowała już martwa cisza. Sprawdzając, czy w pobliżu nie ma reżunów, uciekliśmy w zboża i, na przemian pełzając i biegnąc, dotarliśmy do odległego o dwa kilometry Oktawina.

Chrynow

Jan B. (ur. 1936):

Mieszkaliśmy w leżącej cztery kilometry na południe od Porycka kolonii Olin. W niedzielę udaliśmy się furmanką do naszego kościoła parafialnego w Porycku. Jechało nas sześcioro: dziadek Józef B., ojciec Kazimierz, siostry Waleria (9 lat) i Genowefa (11 lat) oraz brat Józef (15 lat). [...]

Gdy dojechaliśmy, konie z wozem zostały przywiązane do drzewa obok parkanu na dziedzińcu przykościelnym, a sami weszliśmy do kościoła. [...]

Ksiądz proboszcz Bolesław Sz. rozpoczął mszę. [...] Nagle usłyszałem odgłos strzałów karabinu maszynowego, dolatujący od strony głównego wejścia. Tata błyskawicznie posadził mnie w niszy po zrabowanej przez Sowietów figurze Matki Bożej. [...] Sam uklęknął obok konfesjonu, ale wypatrzył go któryś z banderowców. Kula trafiła go w policzek. Skonał na moich oczach, nic nie mówiąc. Siedziałem skamieniały. Banderowcy rzucali granaty między ławki. Powodowały straszne spustoszenie, rozrywały ciała wiernych, wypływające wnętrzości wydzielaly okropny zapach [...]. Posadzka między ławkami była cała zalana krwią. Ukraińcy nie mogąc dorzucić granatów na chór, ostrzelali go z karabinów. Polacy otworzyli główne drzwi i kto żyw biegł do wyjścia. Lecz przed kościołem ustawiony był karabin maszynowy. W ciągu minuty w przejściu powstała góra zabitych i rannych. [...]

Wyszedłem z wnętrza i pobiegłem do dziadka, leżącego między ławkami. Był ranny w kolano, kazał mi uciekać do cioci Walerii W., która mieszkała nieopodal ko-



Kościół w Porycku. Fot. ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie

ścioła. Przedzierałem się przez stos zabitych w drzwiach głównych. Wychodząc na dziedziniec zamartłem, bo ujrzałem dwóch Ukraińców przy karabinie maszynowym. Nieoczekiwanie jeden powiedział do drugiego: „*Puść, jego i tak wilki zjedzą*”. Moje białe jeszcze rano ubranko nasiąkło krwią z ciała, po których musiałem się przedzierać, chcąc wyjść z kościoła. Pobieglem do domu cioci, ale nie wszedłem do mieszkania, bo zaraz za progiem leżała kobieta z roztrzaskaną głową. Mózg i krew rozbryzgane były po całym przedsionku. Wycofałem się do drewnitni.

Rozpadał się ulewny deszcz. Banderowcy tymczasem opuścili teren przykościelny, zaczęli bić i rabować mieszkańców Porycka. Schowany za drzwiami drewnitni, obserwowałem nasze konie i wóz, czekając, aż ktoś nadejdzie. Po jakimś czasie pojawił się mój brat Józek z sąsiadem. Przeżył schowany w grobowcu [katakumbach pod kościołem]. Wybiegłem do nich i zdałem relację, gdzie kto leży.

Idąc do kościoła znaleźliśmy Tośka, syna cioci Walerii. Zanieśliśmy go na nasz wóz, który Ukraińcy porzucili, widząc dyszel złamany przez spłoszone konie. Sąsiad zdecydował, że taty nie zabierzemy, bo w każdej chwili mogą wrócić Ukraińcy, zabraliśmy więc tylko dziadka, po czym kazał nam prędko ruszać. Do wozu dobiegła jeszcze dziewczyna od A. z naszej kolonii. Józek usiadł na złamanym dyszlu i stamtąd powoził. My leżeliśmy na wozie plackiem, by wyglądało, że konie się spłoszyły. Tak pędząc przez pola i łąki dotarliśmy do domu.

Domy w kolonii Olin stały opuszczone. Ktoś spóźniony na mszę cofnął się do osady i powiadomił o rzezi w Porycku. Nie zastaliśmy więc ani dziadków Sz., ani mamy z pozostałymi dziećmi [...]. Uciekli w kierunku Sokala, bo tam Niemcy trzymali posterunek na Bugu. Spotkaliśmy za to naszych wujków [...], którzy obserwowali wioskę i zaskoczeni naszym widokiem krzyknęli: „*To wy żyjecie, a mówili, że rezuni wymordowali wszystkich w kościele!*”.

Wujek Kostek rozkazał zaraz zmienić opatrunki rannym. Józek miał pomóc przy zmianie dyszla, a mnie przypadło rozpaść w piecu, aby podgrzać wodę do obmycia ran. Jednakże ran nie zdołaliśmy już przemyć i opatrzyć. Na widok unoszącego się z komina dymu, hurma Ukraińców z sąsiedniej wioski ruszyła w naszą stronę.

Wujek Kostek krzyknął: „*Na wóz!*”, a wujek Kuba przeniósł Tośka. Dziadek nie dał się zabrać. Powiedział, że jest już stary i ranny, to nic mu nie robią. Został w domu na łóżku. Józek kończył zmianę dyszla i poprawę uprzęży. Wujek Kostek wrzucił jeszcze na wóz worek grochu, przykrył nas sianem i kazał jechać do Sokala, ale tylko leśnymi drogami. Obaj wujkowie zostali, ukrywając się w sadzie, aby obserwować losy zabudowań i mienia.

Do lasu było niespełna 50 metrów, więc ukraińscy chłopcy nie zdołali nas dogonić. Józek znając drogi leśne, którymi często chodził na zakupy do Sokala, szczęśliwie dowiózł nas do Bugu. Niemcy [...] skierowali nas do punktu pomocy sanitarnej. [...] Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zastaliśmy tam ciocię Walerię. Pokonała biegiem 22 kilometry, dzielące Poryck od Sokala. Uradowana, wzięła rannego syna na ręce i zaniósła do lekarzy. Ci widząc, że potrzebna jest operacja, gdyż w głowie Tośka utkwił odłamek granatu, skierowali go nazajutrz pierwszym pociągami do odległego o 100 kilometrów Lwowa. Po operacji żył jeszcze miesiąc. Dwudniowa obecność odłamka wywołała zakażenie krwi.

My z Józkiem czekaliśmy w okolicy klasztoru [bernardynów w Sokalu], mając nadzieję, że któraś z [naszych] sióstr jeszcze dotrze, gdyż żadnej nie widzieliśmy ani żywej, ani zabitej. Po dwóch dniach udaliśmy się do Wareża, gdzie mieszkał stryj Adam B. Zdał nam relację o rezunach. Kazał nam poczekać, a sam poszedł przekonać dwóch Niemców, by pojechali z nim do kolonii Olin. [...] Udało mu się

dogadać za odpowiednią opłatą. Stryj zastał w wiosce już tylko spalone domy i zabudowania, a w miejscu, gdzie stało łóżko, zwęglone kości dziadka.

Poryck, pow. Włodzimierz

Ryszard J. (ur. 1930):

11 lipca przyjechało do Porycka na mszę o jedenastej bardzo dużo ludzi. Brałem udział w tej mszy z ojcem i dziadkiem Józefem J. [...]

Ojciec stał w korytarzu, ja natomiast z innymi dziećmi przed samym ołtarzem. W pewnym momencie w trakcie mszy otworzyły się główne drzwi i usłyszeliśmy strzały. Ludzie zaczęli padać na ziemię i krzyczeć, inni rzucili się do bocznych drzwi. Powstał taki tumult i zamieszanie, że nie było praktycznie nic widać i słyszeć.

Uciekałem, jak inni, w kierunku bocznych drzwi. Tam również uciekał z korytarza mój ojciec, który złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę wieży kościelnej. Dostaliśmy się na wysokość krużganków, które biegły dookoła kościoła. Wejście na poddasze było zamurowane cienką warstwą cegieł. Ojciec o tym wiedział i szczyrykiem wydłubał cegły. Na dole cały czas słyszeć było strzały i krzyki. Gdy ojciec zrobił otwór w ścianie, weszliśmy na poddasze. Było nas tam około dziesięciu osób. Pobiegliśmy wokół kościoła aż do drugiej wieży, gdzie nie było schodów. Tam się ukryliśmy. Cały czas słyszeliśmy strzały, a także wybuch wewnątrz kościoła. [...]

W pewnej chwili zauważyliśmy dwóch mężczyzn z karabinami. Rozmawiali po ukraińsku. Chcieli iść dalej, ale zobaczyli, że z drugiej strony nie ma schodów i zrezygnowali. Nas nie zauważyli. Przesiedzieliśmy w tym ukryciu około czterech godzin, do czwartej po południu. Tymczasem nadeszła burza i ulewa. Na dole w kościele nie słyszeć już było strzałów, tylko jęki. Postanowiliśmy zejść.

Na schodach minęliśmy zwłoki kobiety, które trzeba było odciągnąć, żeby przejść na dół. W głównej nawie kościoła leżało dużo kobiet i dzieci. Niektóre jeszcze się ruszały i wołały o pomoc. Byłem tak wystraszony, że pośliznąłem się na krwi rozlanej na posadzce. Idąc dalej korytarzem, zobaczyłem leżące dwie dziewczynki w białych sukienkach i kobietę całą we krwi. Musiałem nad nimi przeskoczyć. [...] Wychodząc z kościoła od strony zakrystii, spotkaliśmy za drzwiami dziadka J. Miał osmalone włosy i marynarkę. Był oszołomiony, stał nieruchomo. Zapytał ojca, dokąd idziemy. Ojciec powiedział dziadkowi, żeby wracał do domu do Starego Porycka i przekazał bratu Gienkowi, aby zabrał całą rodzinę i uciekał do Sokala. [...]

Z ojcem nie wróciliśmy do domu, ale też uciekliśmy w kierunku Sokala. Przed wieczorem dotarliśmy do zabudowań naszego dawnego sąsiada Ukraińca Kyrka M. Dano nam tam jeść i przenocowano. Na drugi dzień Kyrk M. pojechał do naszego domu w Porycku i przywiózł walizki z rzeczami, które mieliśmy przygotowane na wszelki wypadek, a także ukryte pieniądze i dokumenty. Wieczorem 12 lipca udaliśmy się do Sokala.

Poryck

Zofia Janina S. (ur. 1930):

W niedzielę rano przyszła grupa uzbrojonych Ukraińców, chodzili po domach i kazali mężczyznom pojechać furmankami do lasu. Mówili, że mają coś wozic dla partyzantów ukraińskich. [...] Ode mnie z domu nikt nie pojechał, bo w tym dniu przyjechali do nas goście, małżeństwo K. z trzynastoletnim siostrzeńcem.

Po godzinie jedenastej usłyszeliśmy strzały od strony Porycka. [...] Sądziłyśmy, że to ćwiczenia partyzantów. Wyszliśmy na chwilę przed dom i wróciliśmy do środka. Za moment drzwi otworzyły się i weszło kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeden był

w hełmie, pozostali mieli na głowach furazerki. Ten, który nosił hełm, miał przewieszony przez ramię karabin maszynowy. Powiedział, byśmy wyszli z domu. Na pytanie ojca — dlaczego, odparł, że od Gruszowa nadchodzą Niemcy, a oni będą nas bronić. Na co mój ojciec zapytał — przed kim. Wówczas mężczyzna zarepetował broń i powiedział, że jeśli nie wyjdziemy, będzie strzelał. Wyszliśmy przed dom. Na naszym podwórzu stali inni sąsiedzi, część stała na drodze.

Pan K. podszedł do mężczyzny w hełmie i chwilę z nim rozmawiał. Domyślałam się, że podał się za Ukraińca (nikt go w okolicy nie znał), bo po chwili ten w hełmie pozwolił mu zaprząć do wozu. Nakazał mu jechać do Samowoli, tam zatrzymać się i pójść do sołtysa. Kiedy nasz gość wsiadał na wóz, zabierając swoją żonę i siostrzeńca, mój ojciec podszedł do Ukraińca i poprosił, aby pozwolił zabrać na wóz mnie i brata. Ten przez chwilę zastanawiał się, po czym wyraził zgodę. Powiedział jeszcze do pana K., aby jadąc do Samowoli zatrzymał się przy figurze [przydrożnym krzyżu] i tam nas zostawił. Mówił, że nasi rodzice tam przyjdą.

Ruszyliśmy. Gdy dojechaliśmy do figury, poprosiłam pana K., by nas wysadził, ale on odpowiedział, że nigdzie nie będziemy wysiadać i żebyśmy w ogóle się nie odzywali. Gdy dojechaliśmy do pierwszego budynku za krzyżem (była to druga część Orzeszyna), z budynku wyszli Ukraińcy i otoczyli wóz. Pytali pana K., kim jest i dokąd jedzie. Odpowiedział, że jest Ukraińcem i jedzie do sołtysa do Samowoli. Wtedy zauważyłam od strony Samowoli idącą dużą grupę osób. Widziałam również, że ludzie z naszej części Orzeszyna byli gromadzeni w jednym miejscu.

Nam Ukraińcy kazali wysiadać z wozu i wyprzęgać konie. Mówili, że muszą sprawdzić, kim jesteśmy. Cały czas nas pilnowali. Gdy ludzie idący od Samowoli zbliżyli się, dostrzegłam, że byli dokładnie strzeżeni przez uzbrojonych Ukraińców. Skręcili do lasu. Wówczas Ukraińcom, którzy nas pilnowali, zaczęło się spieszyć. Powiedzieli, żebyśmy jechali do Samowoli i tam czekali u sołtysa. Gdy odjechaliśmy kawałek, usłyszeliśmy z lasu strzały i straszne krzyki.

Jechaliśmy szybko pustą już drogą. W pobliżu pól oddzielających Orzeszyn od Samowoli ze zboża wyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców. Znowu nas zatrzymali i pytali, dokąd jedziemy. Pan K. odparł, że ich starszyzna kazała mu jechać do sołtysa do Samowoli i że wcześniej wszyscy nas przepuścili. Cały czas rozmawiał po ukraińsku. Kazali nam jechać, ale widziałam, że patrzyli za nami. Gdy dojechaliśmy do niewielkiego lasku, pan K. skręcił do Sokala. Po drodze spotykaliśmy ludzi, którzy uciekali z Wołynia, przeważnie kobiety i dzieci. Niektórzy byli ranni. Zabieraliśmy uciekinierów na wóz.

Orzeszyn, gm. Poryck, pow. Włodzimierz

12 lipca 1943 (poniedziałek)

Leokadia P. (ur. 1935):

Tego dnia z babcią i siostrą Teresą pasłam krowy. Babcia zauważyła z oddali pożar i powiedziała, że trzeba iść do domu i dowiedzieć się, co się dzieje. Mama w tym czasie wносиła co najpotrzebniejsze [rzeczy] z domu w pole. Zabrała mnie i Teresę. Położyłyśmy się na miedzy, pomiędzy łanami żyta, i obserwowałyśmy dom. Po chwili usłyszałyśmy strzał, a mama krzyknęła: „*Dzieci, uciekajcie, bo ja już jestem ranna*”. [...] Podniosłyśmy się i spostrzegłyśmy stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów mężczyznę w mundurze wojskowym i butach oficerkach. W rękach trzymał karabin i mierzył w naszym kierunku. Uciekłyśmy w żyto. Mężczyzna zaczął strzelać za nami.

Usłyszałam, że babcia, ukrywająca się niedaleko, zaczęła charczeć, chyba została ranna. My dalej siedziałyśmy cicho, a kule padały obok nas. Po chwili usłyszałyśmy kroki, a potem z miejsca, gdzie leżała mama, tępy odgłos uderzenia. Domyśliłyśmy się, że ten mężczyzna dobił mamę. Potem odszedł. Zaległa cisza. Starsza siostra Krysia zaczęła krzyczeć: „*Mamo, mamo!*” i wybiegła na miedzę. Wybiegłyśmy za nią z Teresą, zauważyłyśmy, że mama ma rozbita głowę. Już nie żyła. Przeczekałyśmy na polu, aż się ściemniło.

Krysia zaprowadziła nas do P. [Ukraińców mieszkających w wiosce]. Po chwili [przyjechali] Ukraińcy na koniach, zaczęli krzyczeć, żeby wszyscy wychodzili przed dom z dokumentami. Ukrainka P. powiedziała, że może ukryć tylko Krysię. Mnie i Teresę kazała zaprowadzić starszej siostrze w pole.

Po jakimś czasie dwóch Ukraińców na koniach znalazło nas w życie. Prowadzili nas obok domu P. i pytali, czyje to dzieci. Nagle znalazł się nasz ojciec i krzyknął, że jego. Wtedy Ukraińcy zaczęli ojca kopać i bić. Kazali mu szybko iść przed nimi. Ojciec krzyczał, że my nie możemy nadążyć. Zaprowadzili nas na podwórko gospodarstwa N. Była tam cała banda Ukraińców z kosami, siekierami i widłami. Widziałam, jak z piwnicy Ukraińcy wywlekli babcię N. Była to staruszka ponad 80-letnia, nie chodziła, Ukraińcy wlekli ją po ziemi. Położyli jej głowę na pieńku i odrabali siekierą. Przeraziłam się. Ojca zabrali do stajni.

Jeden z Ukraińców podszedł do nas. Rozpoznałam w nim znajomego rodziców [...]. Prosiłam go, żeby nas nie zabijali. Spojrzał na nas i zwrócił się do dowódcy bandy: „*Nie zabijajmy ich, kto inny je złapie, to zabije*”. Dowódca kazał mu zapytać nas, czy my Polki, czy Ukrainki. Odpowiedziałyśmy, że Polki. Wtedy krzyknął: „*To bierz je!*”. Znajomy zaprowadził Teresę do stajni, a potem wrócił po mnie.

Weszłam do stajni i zobaczyłam stos trupów, kilkadziesiąt zwłok. Uderzono mnie w głowę, straciłam przytomność. Ocknęłam się w chwili, kiedy stajnia zaczęła się palić. Zaczęłam krzyczeć: „*Tato! Tereniu!*”. Ojciec nie odzywał się. Odezwała się Tereska, powiedziała, że jest przerażana siekierą przez krzyż i nie może uciekać. Krzyczała do mnie: „*Uciekaj sama, Lodziu!*”. Wywlokłam się na kolanach, wszystko się paliło. Podczołgałam się do ogródka i tam zasnęłam. Rano pobiegłam do P. [...] Starsza siostra zaopiekowała się mną.

Osada wojskowa Ułanówka, gm. Mikulicze, pow. Włodzimierz

13 lipca 1943 (wtorek)

Franciszka B.-Dz. (ur. 1921):

W Józefinie mieszkaliśmy z mężem, trojgiem dzieci: Halinką (4 lata), Henią (2 lata) i urodzoną w maju 1943 Aldoną. Mieszkała także z nami teściowa Maria N. (70 lat).

W lipcu 1943 postanowiłam odwiedzić swojego ojca w Kalinówce; matka już nie żyła. W niedzielę nie pojechaliśmy, bo bardzo padało. W poniedziałek powiedziałam mężowi, że po takim deszczu nie pójdzie w pole i żeby pojechać do ojca. Wzięłam opiekunkę do dzieci i pojechaliśmy. Przez całą drogę, około 20 kilometrów, wszystkie miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały na wymarłe, nie widzieliśmy żadnych ludzi. [...] Dojechaliśmy do Bielina, gdzie mieszkała moja najstarsza siostra Maria K., podjechaliśmy pod jej dom. Wybiegła do nas, powiedziała, że całe szczęście, że nie przyjechaliśmy dzień wcześniej, bo wczoraj Bielin został napadnięty przez Ukraińców [...].

Siostra opowiedziała mi, że po powrocie z kościoła i nakarmieniu dzieci, położyła się i czytała książkę. [...] W pewnym momencie zauważyła pod oknem jakieś po-

stacie. Pomyślała, że może ktoś schronił się przed deszczem. Podniosła się jednak z łóżka i spojrzała przez okno na dom sąsiada. Zobaczyła, że pod jego oknami również stoją jacyś ludzie w siermięgach. Zastanowiło ją to, otworzyła drzwi i zobaczyła w progu Ukraińca. Gdy chciała wyjść, ten jej nie puścił i powiedział, żeby nie wychodziła, bo ją zabije. Przestraszyła się i została w domu. Wszystkie polskie domy zostały tak obstawione. [...] Gdy po jakimś czasie Ukraińcy odступili, okazało się, że tego dnia nikogo nie zabili, ale obrabowali prawie całą wieś. Przyjechali wozami i brali, co im się podobało. Gdy zabrakło im wozów, zmusili część polskich gospodarzy, aby swoimi wozami przewieźli im zrabowane rzeczy. [...]

Postanowiliśmy z mężem wracać do domu. W mijanych miejscowościach, jak poprzednio, ani żywej duszy. Dopiero jakiś kilometr od domu zobaczyliśmy furmankę. Na wozie jechali Ukraińcy, chłop z przodu, kobieta z tyłu. Jednocześnie dostrzeżliśmy łunę nad Józefinem i straszny pożar dalej na widnokręgu. Mąż zapytał Ukraińca, co się tak pali. Chłop opuścił głowę i nie odezwał się, natomiast kobieta złożyła ręce i powiedziała: „*Oj, bida, panoczku*” — i pojechali.

Przyjechaliśmy na podwórko. Akurat był tam brat męża Franciszek. Pokazał na łunę i powiedział, że tam już płoną polskie wsie. [...] Stwierdził, że może tej nocy jeszcze do nas nie dojdą, ale trzeba wystawić wartę. Mąż z bratem umówili się, że będą pilnować w nocy, a kobiety i dzieci będą spać. [...] Brat poszedł do domu.

Po kolacji położyłam dzieci spać, a mąż wyszedł na podwórko pilnować. Nad ranem przyszedł do mieszkania, usiadł przy stole, zapalił papierosa i stwierdził, że robi się dzień, to już chyba nic nie będzie. Rozbudziłam się, zaczęliśmy rozmawiać. Nagle otworzyły się drzwi i do domu wpadło kilku Ukraińców. Któryś krzyknął: „*Najsampierw gospodarza*”. Chwycili męża, wykręcili mu ręce i dwóch zabrało go na dwór. Dwóch innych podeszło do teściowej, która leżała na łóżku. Uderzyli ją kolbą i wywlekli na dwór. Przy mnie został jeden chłopak, około dwudziestoletni [...]. Zaczęliśmy rozmawiać po polsku, był grzeczny. Powiedział, żebym prędzej wychodziła z dziećmi. Zaczęłam je ubierać. Widząc, że nie daję rady, krzyknął do swoich, aby przyprowadzili teściową. Teściowa wzięła Henię, ja najmłodszą córkę okręciłam w becik i wzięłam na lewą rękę, a Halinkę wzięłam za rączkę. Halinka kucnęła i nie chciała iść. Powiedziałam jej: „*Chodź, bo tam został tatuś*”.

Na zewnątrz zobaczyłam męża, odwróconego twarzą do ściany domu. Przy nim stał Ukrainiec [...] i trzymał wycelowaną pepeszę. Gdy wyszliśmy, uwolnił męża, który podeszedł do nas i wziął Halinkę na ręce. Wtedy spostrzegłam, że Ukraińców jest kilku. Byli po cywilnemu, nie mieli mundurów ani widocznych oznaczeń wojskowych. Część przeszukiwała budynki. Domyślałam się, że od razu chcieli nas wymordować, tylko nie wiedzieli gdzie. Mieszkania, stodoły i stajni było im szkoda. Po chwili jeden, który buszował po gospodarstwie, wskazując na szopę, powiedział: „*Tam nie ma niczego*”. [...]

Zaczęli nas popychać do szopy. [...] Spieszyli się, byli nerwowi, ponieważ wstawał już dzień. W szopie znajdowała się przyma cegieł. Przed wojną planowaliśmy wybudować cegielnię. Stanęliśmy przy tej ścianie z cegieł, po mojej prawej stronie mąż, po drugiej teściowa. Do tej chwili byłam przekonana, że Ukraińcy chcą tylko przeprowadzić u nas rewizję, teraz zrozumiałam, że to koniec. W ostatniej sekundzie pomyślałam, że dowiem się, jak jest na tamtym świecie i zobaczyłam, że ów grzeczny młody Ukrainiec, który stał przy mnie w domu, wycelował do nas z pepeszy i zaczął strzelać.

Mąż zginął chyba od razu, razem z Halinką. Ja trzymałam dziecko na lewej ręce. Kula przeszła mi rękę jakieś 15 centymetrów od nadgarstka. [...] Pocisk, który

przebił rękę, spowodował znacznie większą ranę w miejscu wylotu niż wlotu. Następnie prawdopodobnie przebił ciało mojej córeczki, po czym powierzchownie zerwał mi mięsień nad prawą piersią. [...] Musiałam zemdleć po strzale.

Gdy się ocknęłam, zupełnie nie pamiętałam, co się wydarzyło, zobaczyłam tylko ogień. Szopa płonęła. [...] Na czworakach zaczęłam przesuwać się dalej od ognia. Szopa była nieszczelna i znalazłam otwór, przez który wydostałam się do ogrodu. Nie miałam orientacji, co robię. Wpadłam w wielki dół, w którym trzymaliśmy w ziemie wytłoki dla inwentarza. W dole uświadomiłam sobie, że coś miałam na ręku, po chwili dotarło do mnie, że trzymałam córkę. Błyskawicznie wszystko mi się przypomniało i w tej chwili z ręki wytrysnęła mi krew. Obcisnęłam sobie ranę narzutką. Pomyślałam, że jeżeli moje dzieci żyją, będą piszczeć, ale szopa spaliła się, a ja żadnych dźwięków nie usłyszałam. [...]

Usłyszałam rozmowę na podwórku; myślałam, że wrócili bandyci, ale rozpoznałam głos sąsiada P. [...] Na nasze podwórko zaczęli schodzić się nieliczni ocaleni. Poprosiłam ludzi o odszukanie w zgłiszczach zwłok moich bliskich. Teściowa, mąż i najmłodsze dziecko byli zupełnie spaleni. Z dwumiesięcznej Aldonki znaleźliśmy tyle ciała, co na mojej dłoni. Starsze dziewczynki były całutkie, miały nie spalone włosy, skórę. Widziałam miejsca, gdzie zostały postrzelone — średnia w buzię, a Halinka, już nie pamiętam, pamiętam tylko, że z buzi wystawał jej języczek.

Zwłoki ułożyliśmy w skrzyni ze spiżarni, a skrzynię postawiliśmy w ogrodzie. P. zaprzągnął nasze konie — chciał uciekać z rodziną i wziąć mnie. Weszłam jeszcze do domu, gdzie w otwartej szafie zobaczyłam ubranka dzieci. Nie byłam w stanie niczego zabrać. [...]

Tej nocy Ukraińcy wymordowali prawie całą polską ludność Józefina i przylegającego do niego Fundumu. Zostały tylko niedobitki, jak ja. [...]

Ukraińcy, gdy nie zdołali zabić gospodarzy, palili ich budynki, natomiast gdy zabili całą rodzinę, nie podpalali, gdyż planowali, że to będzie ich. Naszego gospodarstwa, oprócz szopy, nie spalili.

Józefin, gm. Chotiaczów, pow. Włodzimierz

14 lipca 1943 (środa)

Stanisław M. (ur. 1935):

Pan B., który przyjaźnił się z sąsiadem, gospodarzem ukraińskim I.S., powiedział mi, że całą rodziną musimy wyjeżdżać, bo I.S. ostrzegł go, że Ukraińcy będą mordować w Ławrowie. B. zabrali na wóz konny trochę ubrania i jedzenia i wyjechali z córką do Łucka. Ja nie pojechałem, bo miałem króliki i gołębie, poza tym w Ławrowie została babcia B. z córką kaleką. Tak mieszkaliśmy jeszcze miesiąc. Do domu wprowadziła się [...] pani J. z mężem i siedmiorgiem dzieci. Było nas dwanaście osób w gospodarstwie.

14 lipca zaczęliśmy żniwa. Kosa była tępą i pan J. poszedł do I.S. ją wyklepać. Ja siedziałem na drzewie i rwałem czereśnie. Zobaczyłem, że jakieś wojsko niemieckie — tak mi się wydawało, bo widziałem ludzi w mundurach niemieckich — idzie do naszego gospodarstwa. Było ich chyba szesnastu. Antek, syn J., mówił, że może idą po ojca, żeby jechał do Łucka. Ja powiedziałem, że to są chyba ukraińscy bandyci i lepiej będzie, jak się ukryjemy. Gdy ci żołnierze zbliżyli się, zawołali Antka, żeby przyprowadził ojca. Antek poszedł do I.S., ja zaś pobiegłem do domu ukryć się.

Poznałem, że dwaj przebrani w niemieckie mundury mężczyźni to nasi sąsiedzi, synowie gospodarza czeskiego [...]. Mieli po około 25 lat i wiedziałem, że przystą-



Rozstaje dróg w powiecie horochowskim. Fot. Adam Julian Łukaszewski / Biblioteka Jagiellońska

pili do ukraińskich band. Nie dołączył się do bandy I.S., bo sobie przestrzelił nogę, był kulawy i go nie wzięli. [...]

Babcia, jej kaleka córka, J. i jej dzieci — wszyscy byli w domu. Wszedłem i powiedziałem, że trzeba się ukryć, bo przyszli Ukraińcy. Wcisnąłem się za prycę stojącą w kuchni, na której był siennik ze słomy, i schowałem się za drewnianym szaflikiem. Ze mną ukryła się Kazia, jedna z córek J.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Cały dom został otoczony przez Ukraińców. Do środka weszło dwóch [...], mówili po polsku, pytali, kto jest Polakiem, zaczęli bić i kazali wszystkim kłaść się na podłodze w kuchni. Zaczął się lament. Ukraińcy mieli karabiny z bagnetami. Pierwszą przebili babcię B. i panią J. Dzieci biegały po kuchni, chciały się gdzieś schować, był pisk, krzyk, płacz, ale żadnych szans ucieczki. Ukraińcy wszystkie dzieci przebili bagnetami, wielokrotnie. Potem kluli bagnetami pod łóżkiem, gdzie siedzieliśmy z Kazią. Uciekły tam jeszcze jej trzy młodsze siostry. Widzieli to Ukraińcy i jeden schylił się [...], uderzył kilka razy bagnetem i te dzieci przebił. Kazia miała pokłute ręce, nogi i klatkę piersiową, leciała jej krew, ale nie były to groźne rany. Mnie bagnet nie trafił, bo byłem osłonięty szaflikiem. [...]

Gdy Ukraińcy odeszli i zrobiło się cicho, wyszliśmy z Kazią z kryjówki. [...] Na podwórku zobaczyłem przy pniaku zwłoki pana J. i Antka, którym bandyci obcięli głowy siekierami. Leżały obok pniaka. Ukryliśmy się w zbożu i postanowiliśmy uciekać przez pola.

Zapadła noc, weszliśmy do jakiegoś domu, w którym paliło się światło. Okazało się, że banderowcy mają w nim zebranie. Obok przenocowaliśmy. Kazia była ranna, więc została, a ja rano wróciłem polami do naszego gospodarstwa.

Z ukrycia zobaczyłem, że jacyś ludzie w cywilnych ubraniach załadowali na furmankę ciała zabitych i odjechali. Polami szedłem za nimi. Dojechali do wsi Kościuszków, gdzie poprzednio mieszkali J., tam wrzucili zabitych do studni na podwórku J.

Wróciłem do Ławrowa i spotkałem pana B., który przyjechał zobaczyć, co się dzieje w gospodarstwie. Razem pojechaliśmy po Kazię. Po drodze zatrzymali nas Niemcy z oddziału walczącego z Ukraińcami i pomagającego uciekać Polakom. Wyjaśniliśmy, gdzie i po co jedziemy. Niemiec kazał otoczyć dom, w którym była Kazia; została zabrana [...]. Niemcy znaleźli w tym domu broń, a Ukraińcy, którzy się tam skryli, zaczęli strzelać. Wówczas żołnierze niemieccy podpalili dom, wrzucili granaty do środka i nikt się z niego nie uratował.

Ławrów, gm. Połonka, pow. Łuck

Stanisław K. (ur. 1931):

Po południu pasłem pod wsią bydło na łące i zobaczyłem, że ludzie w wiosce uciekają w różnych kierunkach. Myślałem, że to Niemcy robią łapankę na roboty, bo tak wcześniej bywało. Gdy pędziłem bydło do domu i szedłem koło zabudowań ukraińskich, zaczęły do mnie dochodzić odgłosy jakby wystrzałów, ale na ulicy niczego nie było widać. Gdy wszedłem z bydłem na podwórze, dobiegł Polak, nie pamiętam, jak się nazywał i powiedział: „*Uciekajcie, Ukraińcy mordują!*”. [...] Brat Antoni uciekł do ogrodu i ukrył się, ale mama powiedziała, że jest stara i nie będzie uciekać. Żona brata, Katarzyna, była narodowości ukraińskiej — uciekła z dzieckiem do swej rodziny. Ja zostałem z mamą.

Gdy szliśmy doić krowy, na podwórze weszło trzech uzbrojonych banderowców po cywilnemu, z opaskami i tryzubami, i jeden Ukrainiec z naszej wioski [...], który pokazał na nas palcem: „*To Lachy*”. [...] Wówczas ci trzej kazali nam wejść do mieszkania, ponieważ, jak powiedzieli, chcą zrobić u nas rewizję. Gdy weszliśmy, od razu jeden z tych trzech kazał się mamie położyć na ziemi. Mama zaczęła prosić, żeby nas nie mordowali. Drugi powiedział do mnie, abym też się kładł. Chciałem złapać mamę za rękę, ale on odrzucił mnie kolbą. Położyłem się pierwszy, a mama dalej prosiła. Wtedy jeden z trójki dźgnął mamę w pierś bagnetem, następnie usłyszałem cztery strzały z karabinu. Nie widziałem, kto strzelał, bo ze strachu leżałem twarzą do ziemi. Prosiłem Boga, żebym się nie męczył. Miałem twarz zakrytą rękami i w czasie strzałów nic nie czułem.

Gdy Ukraińcy wyszli z domu, wstałem i wziąłem mamę za głowę. Zobaczyłem masę krwi i dziurę wielkości pięści. Ciało było jeszcze w konwulsjach. Zauważyłem też, że mam całe spodnie zakrwawione, myślałem, że to krew mamy. Wyszedłem na strych, żeby się ukryć. Słyszałem jęki sąsiada, mieszkającego 30 metrów od nas, konał na swoim podwórzu chyba z pół godziny. Nagle zobaczyłem, że z lewej nogi sika mi krew i zaczęło mi się robić słabo, a jednocześnie pomyślałem, że mogą spać dom. Zszedłem ze strychu i gdy już byłem w korytarzu, utraciłem siły w nogach. Udało mi się jedynie wyjść z mieszkania i na drodze straciłem przytomność. [...]

Znalazł mnie sąsiad Ukrainiec Antoni G. i wziął do domu. Jego rodzina ukryła mnie w pokrzywach za domem i powiedziała o mnie mojemu bratu, który po napadzie też przyszedł do tego sąsiada. Brat poszedł do wioski Netreba, już w galicyjskiej części Wołynia, zorganizować transport. Poprosił Ukraińca o imieniu Jarsen, u którego miał dług wdzięczności, żeby przywiózł mnie wozem konnym. On faktycznie przyszedł i wziął wóz od Antoniego G., ponadto Antoni G. dał swojego syna do powożenia.

Na drodze złapali nas Ukraińcy [...]. Odgrzebali mnie w słomie i chcieli zastrzelić. Słyszałem, jak Jarsen targował się o moje życie. W końcu puścili nas i zawieziono mnie do Netreby, a następnie do szpitala w Zbarażu. Lekarz, który mnie opatrywał, stwierdził na mojej głowie dwie smugi po pociskach, stąd wiem, że dwa strzały były przeznaczone dla mnie. [...]

Syn Antoniego G., który mnie wioził do Netroby, stanął za to przed banderowskim sądem i został skazany na karę śmierci, ale im uciekł i ukrywał się nawet po wojnie.

Kołodno, pow. Krzemieniec

17 lipca 1943 (sobota)

Halina T. (ur. 1929):

O dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy alarm [bito w żelazne sztaby zawieszone przed domami], biły dzwony kościelne. Kobiety, dzieci i starsi schronili się w kościele, mężczyźni zajmowali pozycje do obrony. Mój ojciec miał karabin; gdy usłyszał alarm, pobiegł do swojego oddziału. My początkowo schroniliśmy się w okopach, ale mama pobiegła jeszcze z panią S. wynieść z domu parę rzeczy, w obawie przed spalaniem.

W tym czasie razem z cicią Jadwigą O. siedziałam w okopie. Podjechali do nas partyzanci sowieccy na koniach i powiedzieli, żeby schronić się w szkole lub pobliskich domach, bo jak podejda Ukraińcy, zarzucą okopy granatami. Gdy część osób wyszła, wybuchła strzelanina. Schroniliśmy się z cicią w pobliżu jakiegoś domu, pod zrębem nie wykończonego ganku. Obok nas położył się jedenastoletni nieznajomy chłopiec.

Pojawili się Ukraińcy. Nie widziałam ich, bo głowę miałam schowaną pod belką, tylko słyszałam, jak krzyczeli: „*Chłopci, tut*”. Usłyszałam strzał, trafili cicię. [...] Poczulałam na szyi i plecach ułucia, były bolesne i głębokie. [...] Głowę osłoniła mi belka. [...] Gdy tak byłam kluta, obok słyszałam przeraźliwy krzyk również klutego pikami chłopca, który wołał swoją mamę. Ten chłopiec musiał cierpieć straszne męki, gdyż, jak się okazało, miał poraniony brzuch. Boże, jak on krzyczał!

[...] Ukraińcy wycofali się [...]. Jeszcze nie straciłam przytomności, zaczęłam szeptać, aby cicia się odezwała. Chłopczyk cały czas przeraźliwie krzyczał, ja go prosiłam, żeby przestał, bo oni znowu przyjdą, i w końcu zamilkł. Cicia w ogóle się nie odzywała. Czułam, jak po plecach i szyi spływa mi krew.

Minęła może godzina, gdy nastąpił kolejny atak Ukraińców. Słyszałam, że idą. Nawet nie próbowałam oddychać, nie ruszałam się, nic nie widziałam. Usłyszałam po ukraińsku: „*Ci to wsi hotowi, a etu sabaku — chodziło o chłopca — zastreli*”. Wówczas jeden powiedział do drugiego, że jest durny, szkoda naboju i znowu zaczęli tego chłopca kłuć pikami. Wtedy zemdlałam. Kiedy obudziłam się, już świtało. Usłyszałam polską mowę. Ten chłopczyk jeszcze żył, zmarł w południe. Cicia była martwa. Partyzanci powiedzieli mi potem, że nie cierpiała, została trafiona pociskiem w serce, niemniej i tak była pokłuta.

[...] Partyzanci polscy organizowali transport, żeby się wycofać z Huty Stepańskiej [zob. też: „Karta” 8]. Podjęto decyzję o ewakuacji na wozach dzieci, rannych i osób starszych. Kiedy transport ruszył około południa, nastąpił kolejny atak Ukraińców. Leżałam na wozie razem z dwójką innych dzieci. Woźnica rzucił lejce i zaczął uciekać. Mój tato z karabinem doskoczył do konia i zawrócił wóz. Zaniesiono nas do szkoły. Wpadł do niej tłum uciekających. Ojciec nie był przy mnie, gdzieś walczył. Odparto atak i ponownie zorganizowano transport. Kiedy opuszczaliśmy Hutę, rozpętała się straszna burza, w życiu takiej nie widziałam. Wtedy udało się nam wycofać do lasu bez strzału.

Nocowaliśmy w lesie. Niesamowite wrażenie. Tabor rozciągał się jak okiem sięgnąć. Ochraniały go przez partyzantów polskich i chyba sowieckich. Matki musiały pilnować dzieci, żeby nie płakały i nie zdradziły naszego położenia, a gospodarze

stali przy koniach i pilnowali, żeby żaden nie zarżał. Gdy tak jechaliśmy, widziałam płonące polskie wsie [...]. Mama po drodze zbierała jabłka, bo bardzo chciało mi się pić. 20 lipca dotarliśmy do Sarn. [...] Zostałam umieszczona w szpitalu, gdzie leżałam trzy miesiące. [...] Leczył mnie Niemiec, bardzo się mną opiekował.

Huta Stepańska, gm. Stepań, pow. Kostopol

18 lipca 1943 (niedziela)

Wiesław Witold G. (ur. 1937):

Polacy jeździli z bronią na wypad do swoich gospodarstw po żywność i inne rzeczy. Kiedyś udało mi się wśliznąć na wóz, którym na wypad jechał mój ojciec. Poza nim jechało wtedy osiem–dziesięć wozów sąsiadów.

W wiosce [w pobliżu Chrynowa] wszystkie zabudowania jeszcze stały, nie były spalone. Zajechaliśmy do gospodarstwa M., bo wiedzieliśmy, że nie uciekli. Obok domu, który nie był podpiwniczony, stał tzw. loch ziemny. W nim znaleźliśmy małżeństwo. Ojciec mnie nie puszczał, żeby to oglądać, ale widziałem, jak wyciągali zwłoki. Oboje byli porąbani siekierami. Na polu przy gospodarstwie został znaleziony nasz bliski sąsiad B. Z dwóch stron obłożono go deskami, w których [tkwiły] gwoździe, a deski obwiązano drutem kolczastym. Jego ciało zostało nabite na gwoździe, widziałem go w tym stanie. Wiem, że po polach i obejściach znaleziono kilka osób z rozciętymi brzuchami.

Już we Włodzimierzu, byłem z rodzicami w kościele farnym o jedenastej. W czasie mszy wpadła do kościoła może dwunastoletnia dziewczyna. Miała obciętą przy ramieniu prawą rękę. Wbiegła przed ołtarz główny i krzyczała: „*Matuchno Najświętsza, dziękuję ci, że pozwoliłaś mi się uratować*”.

Później dowiedziałem się, że zamordowano jej całą rodzinę, ona jedna się uratowała i biegła 10 kilometrów przez las.

19 lipca 1943 (poniedziałek)

Jadwiga J. (ur. 1937):

Uciekałyśmy z mamą [...]. Za nami gonił jeden Ukraińiec i strzelał. Dostałam w tył uda. Kula przeszła na wylot, wyrывая mięśnie, ale nie uszkodzając kości. Moja mama wzięła mnie na ręce i dalej uciekałyśmy. Ukraińiec dogonił nas. Mama uklękła przed nim i błagała, żeby nas nie mordował, tylko zastrzelił.

Po namyśle kazał mamie usiąść, wziąć mnie na ręce i przytulić. Odszedł kilka kroków, wycelował, strzelił. Kula przeszła przez moje prawe ramię, znowu uszkodzając mięśnie, ale nie naruszając kości, a mama została trafiona w serce. Upadła na wznak i zmarła. Ja upadłam na mamę, zamknęłam oczy i przytuliłam się. Ukraińiec podszedł, uderzył kolbą w moją lewą dłoń (została mi po tym szrama między palcami) i odszedł. [...] Po odejściu Ukraińców odnalazła mnie rodzina przyczajona na polu żyta i przeniosła razem z mamą na miedzę. Opatrzyli mi rany, położyli na wóz i zostawili.

Następnego dnia przechodziła tamtędy grupa uzbrojonych Ukraińców, którzy zabrali z wozu wszystko, co zostawili moi krewni. Obok mamy i mnie przeszli obojętnie. Tylko jeden, idący z tyłu, zatrzymał się i powiedział do mnie po polsku, że jestem podobna do matki i że powinnam powiedzieć cioci, żeby mnie stąd zabrała, bo zginiemy. Po kilku dniach wrócił i powiedział, że wie, że jestem sama, że cioci nie ma. Chciał, żebym z nim porozmawiała. Ja się nie odzywałam, wstrzymywałam oddech — udawałam, że nie żyję. Byłam zbyt mała, nie zdawałam sobie sprawy, że

człowiek żyjący jest ciepły. Ten Ukrainiec zaniósł mnie na pole gryki. Przychodził jeszcze kilkakrotnie, chciał mnie sprowokować do mówienia, w końcu odszedł.

Po kilku dniach usłyszałam koszenie pobliskich zbóż. Znowu przyszedł ten Ukrainiec i powiedział, że zabiera mnie do swoich. Wziął mnie na ręce, zaniósł do koszących zboże, położył na ziemi. Nadal nie chciałam mówić. Ukraińcy postawili obok mnie jedzenie i poszli. Nie wiedziałam, że z tyłu została jedna Ukrainka. Kiedy sięgnęłam po jedzenie, krzyknęła, że żyję. Wówczas wszyscy się zbiegli i nie mogłam już udawać, opowiedziałam o sobie. Prawdopodobnie leżałam tak sama około dziesięciu dni.

Wyrka, gm. Stepań, pow. Kostopol

2 sierpnia 1943 (poniedziałek)

Anna O.:

Zabraliśmy dzieci i pojechaliśmy do kościoła w Tucynie [...]. Wróciliśmy dopiero pod wieczór, trochę zmęczeni. Zjedliśmy kolację, jeszcze poszłam z dziećmi na różaniec do sąsiada. Przyszła prawie cała wieś.

Wróciliśmy do domu i tak rozmawiamy z mężem, że może nie pójdziemy dzisiaj na noc do lasu, takie męczące to spanie na dworze. Noce chłodne, a dzieci małe, płaczą, że zimno i chciałyby spać w łódeczkach. Może tę jedną noc prześpiemy w stodole, odpoczniemy trochę...

I tak zrobiliśmy. Dzieci bardzo się ucieszyły. W stodole było trochę siana, rozebrałam dzieci, włożyłam im nocne koszulki, żeby wypoczęły, bo w lesie czy na łące spały w ubrankach. [...] Stodoła była drewniana, więc z tyłu odbiliśmy deskę, żeby w razie czego prędzej wyjść. Za stodołą było żyto, może da się łatwiej uciec.

Weszliśmy do dzieci i siedzimy na sianie. Mąż zaczął się niepokoić, miał jakieś złe przeczucia. Powiedział, że nie będzie spać do drugiej, potem ja będę czuwać. Przytaknęłam, ale oka nie zmrużyłam; i mnie ogarnął jakiś strach. Wydawało mi się, że ktoś chodzi koło naszego mieszkania. Pies zaczął mocno szczekać, potem wyć. Około północy zaczęły wyć wszystkie psy, aż echo, hen, odbijało.

A nasze dzieci śpią. Próbuje je obudzić, może wyjdziemy w pole, ale w żaden sposób nie mogę. „*Boże, nie opuszczaj nas!*” — modlę się do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy — „*Ratuj nas, Pani!*”. Dochodzi pierwsza. Jaka długa noc! Żeby prędzej do rana doczekać. Nagle zaczęły pękać granaty i wybuchł pożar. O, Boże! Jęk i krzyk, strzały z karabinów, wioska obstawiona przez bandę Ukraińców z bronią — nikt nie ucieknie.

„*Matko Najświętsza, nie opuszczaj nas!*” — westchnęłam. Mąż krzyczy: „*Budź dzieci i uciekaj szybko, a ja te rzeczy w workach wyrzucę ze stodoły*” i kręci się po klepisku, nie może niczego znaleźć. Ja nie mogę obudzić dzieci, szarpie je, mówię do męża, że będziemy je wynosić śpiące. Mąż wyniósł najmłodsze, a ja jakoś dobudziłam te starsze. Wybiegliśmy kawałek od domu, w zboże. Wzięłam tylko jeden koc, bo ze strachu nic więcej nie znalazłam. Dzieci drżały w nocnych koszulkach, noc była chłodna. Owinęłam wszystkie kocem i kazałam usiąść na ziemi, choć była dość wilgotna, a sama patrzę, czy nasz dom jeszcze stoi.

Kury fruwały, zwierzęta ryczą, rzą, wyją, a ludzie... krzyczą niehumanitarnym głosem. [...] Płomienie buchają pod niebiosą. Drewniane domy, słomiane dachy palą się jak zapalki. Ach, żeby naszego domu nie spalili!

Dzieci zaczynają płakać, że długo nie ma tatusia. Ja też się niepokoję. Nareszcie przychodzi mąż, przynosi ubranka, dzieci szybko się ubierają i biegniemy do lasu, około pół kilometra. W lesie zebrało się już sporo niedobitków, opowiadają. [...]

Tej nocy zamordowano ponad sto osób ze wsi Leonówka.

Rozwidniło się, mężczyźni poszli na zwiady. Szybko wrócili i wołają: „*Nasze domy [w kolonii Leonówka] stoją, doszczętnie spalona jest tylko wioska*”. Wracamy z lasu. Akurat wschodziło słońce, smutne, czerwone, jakby skąpane we krwi. Nie ma wiatru, cicho, pogodnie, tylko cuchnący dym unosi się ze zgliszcz. Co robić? Dokąd uciekać?

Szybko przygotowuję śniadanie, a tu wpada syn sąsiada i woła: „*Jadą na koniach Ukraińcy*”. — „*Wola Boska — mówię — nie damy rady uciec*”, ale nas ominęli. Zajechali do sąsiada i mówią, że nie będą nas zabijać, bo byliśmy dobrymi gospodarzami, ale żeby nas tu do dwunastej nie było, ani jednego, bo inni przyjdą nas mordować.

Zostawiamy cały dorobek — nowy dom, stodołę, oborę, studnię betonową, sad, krowy, świnie, stado gęsi [...]. Mamy jeden wóz, a trzy rodziny się pakują — co można wziąć? Małe dzieci też trzeba posadzić na wóz. Zapakowałam do worka lepsze odzienie, trochę żywności. Wzięłam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a dzieciom dałam po małym obrazku. Zdjęłam ze ściany krzyż misyjny, wzięłam różaniec i mówię, że już zabrałam wszystko, co najważniejsze.

Obraz Matki Boskiej, którym moi rodzice błogosławili nas do ślubu, był za duży, by zabrać go ze sobą, więc zdjęłam ze ściany, postawiłam na stole przykrytym białym obrusem, ubrałam w kwiaty. Uklękliśmy wszyscy, odmówiliśmy *Pod Twoją obronę* i poprosiliśmy Matuchnę o błogosławieństwo, nie do ślubu, jak ongiś, a na życie tułaczę. Ze łzami w oczach wyszliśmy z mieszkania, które zamknęłam na kłódkę. Krzyżem przeżegnałam drogę i wyruszyliśmy.

Tylko Reks został. Nie mogliśmy zabrać go ze sobą, bo nie miał kagańca, a był bardzo groźny. Gdy wyjeżdżaliśmy z podwórza, zaczął strasznie wyć, a dzieci płakać, nam też łzy spływały po policzkach. Odjechaliśmy 6 kilometrów i jeszcze słychać było jego wycie.

Szybkim tempem jechaliśmy przez spaloną Leonówkę. Ileż tam leżało trupów, a we wsi żywej duszy. Kto został przy życiu, uciekł, o pogrzebach nie było mowy. Tu i ówdzie jeszcze dymiły zagrody. Pasięka na sto pni spalona, roje pszczoł siedziały na miodzie z rozbitych uli. Obok drogi w łanie żyta leżał osiemnastoletni syn Mikołaja M. Miał okropnie popalone ciało i ubranie. Wołał o ratunek, ale było to niemożliwe, konał. [...]

Dojechaliśmy do Tuczyzna, gdzie był niemiecki posterunek. Tu zjechali Polacy z całej gminy. [...] Niemcy wyznaczyli miejsce na łące nad rzeką Horyń i powiedzieli, że tu mamy przenocować, a jutro jechać dalej.

Dopóki świeciło słońce, było spokojnie. Po zmierzchu przyjechali Niemcy i powiedzieli, żeby wyjeżdżać szybko na drugą stronę rzeki, bo moc Ukraińców idzie, wybiją nas albo potopią, a oni nie mają takiej siły, żeby z nimi walczyć.

Nie da się opisać, jaki powstał popłoch. A gdy jeszcze usłyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych, jak to wszystko ruszyło [...], nawet w ludziach były straty.

Leonówka, gm. Tuczyń, pow. Równe

29 sierpnia 1943 (niedziela)

Bożena P. (ur. 1927):

W nocy 29 sierpnia spaliśmy w polu z mamą i braćmi, tylko ojciec został w domu. O wschodzie słońca wróciliśmy do gospodarstwa. Starszy brat Mieczysław wszedł do kryjówki w stercie słomy na podwórku, a młodszy Alfons ukrył się w sianie na

strychu obory. Ja z mamą byliśmy jeszcze na dworze, kiedy mama zauważyła, że z kolonii wybiegło kilku mężczyzn z siekierami, kosami i toporami na plecach i pobiegli do sąsiada P. Ponieważ tam już nikogo nie było, pobiegli do drugiego sąsiada K., gdzie także nikogo nie zastali, bo ta rodzina spała w zbożu. Zobaczyliśmy, że pędzą w naszą stronę.

Mama wbiegła do domu zbudzić ojca, natomiast ja wskoczyłam do kryjówki brata w stercie słomy na podwórzu. Zdążyłam tylko powiedzieć, że lecą do nas bandyci, gdy mama z ojcem wyszli na próg i zawołali, byśmy uciekali z gospodarstwa. Ojciec został na podwórku, zaś mama z Mieczysławem pobiegli za stodołę, ukryć się w kopcach pszenicy. [...]

Bandyci byli już blisko, wskoczyłam z powrotem w stertę słomy. [...] Usłyszałam dwukrotne głuche uderzenie i jęk ojca. Zaczęli szukać pozostałych członków rodziny. Zaglądali wszędzie i znaleźli mamę z Mieczysławem. Jeden z Ukraińców powiedział: „*No, tych dwoje już leży*”. Na strychu znaleźli Alfonsa, sprowadzili go na podwórze. [...] Usłyszałam dwa uderzenia, jak przy ojcu, i jęk. Kiedy zabili brata, zaczęli między sobą mówić, że gdzieś powinna być jeszcze dziewczyna. Szukali mnie [...], w końcu poszli.

Po dwóch–trzech godzinach znowu przyszedli jacyś Ukraińcy i zaczęli kopać doły na podwórku i za stodołą. Nagle usłyszałam głos Alfonsa: „*Boże! Boże!*”. Podeszli do niego i powiedzieli: „*Aluś, ty śpisz, śpisz*”. Brat jeszcze dwa razy powtórzył: „*Boże, mój Boże!*”, wtedy jeden odezwał się: „*Weź topór i go dobij*”. Znowu usłyszałam dwa ciosy. Brat przestał jęczeć. Wrzucili ciała do dołów [...] i gdzieś sobie poszli.

Po południu przyjechały furmanki na podwórze i zaczęło się zabieranie inwentarza, sprzętów, odzieży. Zabrali, co się dało, i odjechali.

W nocy myślałam, aby wyjść i przedostać się jakoś do Włodzimierza, ale usnęłam. Obudziłam się rano, kiedy usłyszałam, że ktoś chodzi po podwórku. [Ukraińcy] Zbierali jajka i wypuścili na podwórze dwa prosiaki. Prosięta wyczuły, że jestem w stercie, przecisnęły się przez słomę i położyły obok moich nóg. Podkopał się też do mnie pies. Wyciągnęli psa i patrzyli, czy kogoś tam nie ma. Z drugiej strony były te dwa prosiaki, ktoś je kopnął i zaczęły pchać się do mnie. Odepchnęłam je mocno i poszły sobie, a Ukrainiec za nimi. Jakoś mnie nie znaleźli. Siedziałam do następnego dnia w stercie. Czułam głód, a przede wszystkim chciało mi się pić.

We wtorek przed nocą postanowiłam znaleźć coś do picia. Na podwórzu już całopopołudnie było spokojnie. Na płocie suszył się garnek, nabrałam nim wody z koryta, choć była już zazieleniona. Wróciłam do sterty i przez słomkę piłam wodę z dna. Przesiedziałam tak kolejną noc. Chciałam uciekać, ale zaraz trzęsłam się i zasypiałam.

W środę rano pomyślałam, że jeśli nie wyjdę, to umrę z głodu albo mnie spalą w tej stercie, bo niektórzy gospodarstwa palili. Wysłałam więc i wzięłam grabie, udając robotnicę idącą w pole. Kiedy doszłam do zakrętu drogi prowadzącej do kolonii (mieszkaliśmy jakieś 300 metrów z boku), zobaczyłam jadących na wozie Ukraińców z karabinami. Nie patrząc na nich, poszłam drogą na Włodzimierz, a oni skręcili [...]. Nie zatrzymali mnie, nie wiem dlaczego. [...]

Kiedy przeszłam ze 3–4 kilometry, zobaczyłam, że w gospodarstwie polskiego osadnika wojskowego S. Ukraińcy coś ładowali na wóz. [...] Jeden zatrzymał mnie i zapytał, dokąd idę. Z przerażenia nie mogłam nic powiedzieć, wyjąkałam, że grabić owies. Zapytał, czyja jestem. Skłamałam, podając się za córkę G., którzy byli rodziną ukraińską, mieszkali na kolonii i mieli trzy córki mniej więcej w moim wieku. Mężczyzna powiedział, że kłamię, bo on zna córki G. [...] Dodał, że mam szczęście,

bo on jeszcze nikogo nie zabił i nie chce zabić, a jest przekonany, że jestem Polką. Kazał mi rzucić grabie i dla bezpieczeństwa iść przez pola i lasem, a nie drogą.

Grabi nie rzuciłam, ale poszłam w kierunku lasu. [...] Z daleka zobaczyłam przedwojenną strzelnicę wojskową, kręciło się tam kilka osób. Nie wiedząc, kim są, zaczęłam grabić skoszoną grykę i owies, i ustawiać w kopki. Te osoby ruszyły w moim kierunku. Kiedy pierwszy się zbliżył, zobaczyłam w nim wiejskiego skrzypka, wywiezionego przez Ukraińców do lasu, lecz za chwilę wydało mi się, że to jakiś Niemiec, a po chwili, że Ukrainiec, dopiero kiedy on odezwał się po polsku: „*Bożenka*”, okazało się, że to znajomy. Byli to Polacy, którzy przyjechali z Włodzimierza po paszę dla trzody. Zabrałam się z nimi.

Ludmiłpol, gm. Werba, pow. Włodzimierz

Kazimiera J. (ur. 1931):

Że ludność ukraińska morduje Polaków, słyszałyśmy w trakcie rozmów dorosłych. Dorośli obawiali się aktów przemocy, niemniej wszyscy prowadzili gospodarstwa i musieli pracować. Ponadto liczyli, że w ich miejscowości nic złego nie ma powodu się wydarzyć. [...]

W niedzielę w nocy usłyszeliśmy zbliżające się strzały i hałasy od strony lasu. Matka zbudziła nas i kazała się ubierać. Poszliśmy do mieszkającego niedaleko wujka Jana. Również nie spali. Wujek stwierdził, że być może idą po mężczyzn i schował się do stodoły. My staliśmy na podwórku. Okrążyło nas dziesięciu mężczyzn, wśród nich był mieszkaniec Głębozczy [...]. Byli uzbrojeni w młotki, kosy, siekiery, jeden miał starą broń. Uspokajali nas, że nic nam nie zrobią. Pamiętam, że mieli pokrwawione nogawki spodni. W pewnym momencie usłyszałam głośnie „*Hurra!*” i zauważyłam, że biją nas tym, co każdy miał w ręku. Stojący obok mnie Ukrainiec zamachnął się na mnie siekierą, upadłam i straciłam przytomność.

Nie wiem, ile leżałam, ale dość długo. Słyszałam jakiś płacz, jęki, myślałam, że śnię. Kilkakrotnie odzyskiwałam i traciłam świadomość. Przypominam sobie, że widziałam matkę z rozrąbaną czaszką. Ojciec leżał zabity, trzymając najmłodszą siostrę, też martwą. [...]

Mógł to być trzeci dzień. Czułam się bardzo głodna, słaba. Doszłam jakoś do sadu babki, nzebierałam jabłek i zjadłam. Ukraińcy w dalszym ciągu grasowali. Posta-

nowiłam schować się w kopie zboża na polu babki. Nie wiem, ile tam siedziałam, ale trzy razy widziałam Ukrainki idące do cerkwi w odświętnych strojach. W końcu znaleźli mnie w tej kopie Ukraińcy. Byłam wycieńczona, myśleli, że nie żyję. Wykopali dół i kłócili się, który ma mnie zepchnąć. Mogło być ich z sześciu. Jeden wziął łopatę i zepchnął mnie, przy tym jeszcze uderzył mnie łopatą w bok głowy. Czułam, jak zasypują mnie ziemią. W końcu odeszli.



Polska rodzina zabita przez Ukraińców.
Fot. IPN Oddział w Lublinie

Udało mi się zgarnąć ziemię z twarzy i podniosłam się. Obserwował mnie jakiś Ukrainiec, pomógł mi wyjść. Bardzo się bałam. Zaprowadził mnie do rzeki, gdzie obmyłam się, gdyż miałam całą twarz zalaną krwią. Pytał, co się stało z moją rodziną. [...] Nazywał się H., wydaje mi się, że był wśród tych, którzy napadli na nas na podwórku wujka. [...] Zaprowadził mnie do swojego domu, jego siostra opatrzyła mi ranę i jakoś doszłam do siebie.

Głębozczyca, gm. Olesk, pow. Włodzimierz

30 sierpnia 1943 (poniedziałek)

Jadwiga P:

Popędzili nas w stronę kościoła. Kiedy doszliśmy, wypędzili z kościoła przeważnie kobiety z dziećmi i popędzili wszystkich w stronę cmentarza, przez krzaki. [...] Koło cmentarza pobili starego organistę z żoną, bo nie dawali rady szybko iść. Było gorąco, zalewał nas pot. [...]

Przepędzili nas kilka kilometrów krzakami i się zaczęło.

Ewa Sz. ze wsi Maria Wola wymawiała im: „*Za co nas zabijacie, po Żydach nabraliście złota, a po nas co weźmiecie?*”. Zaczęliśmy odmawiać *Anioł Pański* i *Wieczny odpoczynek racz nam dać, Panie*. Kazali kłaść się rodzinami, potem dziesiątkami — i do każdego z oddzielną strzelali. [...] Położyłam się jak do snu. Miałam dużą chustkę i nakryłam nią głowę, żeby nic nie widzieć. Strzały zbliżały się, czekałam śmierci, a tu słyszę, że strzały oddalają się, a ja nietknięta.

Siostra z jednym bratem, ja z drugim, miałam głowę opartą o jej nogi, musiała słyszeć, że dycham i pyta, czy jestem ciężko ranna. Jeszcze się nie odzywam, boję się, może stoją w krzakach. Drugi raz pyta, podniosła głowę i mówi, że nikogo nie ma. Zobaczyłam, że jest ranna. Wstałyśmy, popatrzyłyśmy na braci (9 i 13 lat), w głowach otwory po kulach. Do dziś mam na sumieniu, że kazałam im wyrzucić czapki, może gdyby byli w czapkach, to by ich nie trafili.

Gdzie iść? Poszłyśmy krzakami w kierunku Lubomla. Spotkałyśmy starszego Ukrainca z dziewczynką. Siostra zaczęła prosić, żeby nas wziął do domu, nie chciał. Wyszłyśmy na drogę na Zapole, siostrze zrobiło się niedobrze. Powiedziałam: „*Poczekaj na drodze, a ja pójdę, po ukraińsku wody poproszę*”. Na szczęście najbliższe mieszkanie było zamknięte, z koryta popiliśmy wody i poszłyśmy dalej. [...]

Zaczęło się życie tułacz.

Wola Ostrowiecka, gm. Huszcza, pow. Luboml

Wybór i opracowanie
Barbara Odnous

W tekście zostały wykorzystane materiały Instytutu Pamięci Narodowej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, akta śledztwa S.1/00/2.

Redakcja składa podziękowania prowadzącemu śledztwo prokuratorowi Piotrowi Zajacowi za pomoc w udostępnieniu i przygotowaniu materiałów.